

1934

071570

Cena numeru 25 groszy

Nr. 1

Wilno, 16 stycznia 1934 r.

Rok XVII

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.

Czynne od g. 12 — 2 prócz świąt.

138049

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 80 zł.
 1/2 „ — 40 „
 1/4 „ — 20 „
 1/8 „ — 10 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Odrzucona propozycja.

Rok nadchodzący ani pod względem ekonomicznym, ani politycznym nie zapowiada się pomyślniej, niż rok ubiegły. Horyzont pozostaje w dalszym ciągu zachmurzony i nic nie wskazuje, by wkrótce miało się rozjaśnić.

Wszystkie skomplikowane zagadnienia, jakie nagromadziły się w ciągu ostatnich lat i które wytworzyły nieznośny stan napięcia zarówno w stosunkach wewnętrznych, jak międzynarodowych, trwają wciąż nierozstrzygnięte i nie przestają wywierać swego deprymującego wpływu.

Pewne wypadki, które, zdawało się, powinny były przyspieszyć rozwiązanie nabrzmiałych problemów i przyczynić się do oczyszczenia ciężkiej atmosfery, przeciwnie, jeszcze bardziej ją zgęściły i uczyniły jutro jeszcze więcej zagadkowym.

Dojście do władzy Hitlera w Niemczech i wystąpienie Niemiec z Ligi Narodów, zbliżenie polsko-sowieckie, nawiązanie stosunków dyplomatycznych między Sowietami i Stanami Zjednoczonymi na tle zupełnego bankructwa konferencji rozbrojeniowej zdają się wskazywać, że pacyfikacja świata w duchu Brianda i Kelloga stała się obecnie nieaktualną, i że następuje powrót do systemu grupowych sojuszków, które doprowadziły do wybuchu wojny wszechświatowej.

Wielokrotne zapewnienia o swych pokojowych zamiarach ze strony Hitlera i Mussoliniego nie budzą jakoś zaufania w kołach politycznych. Coraz wyraźniej zarysowuje się podział mocarstw na dwa wielkie obozy: z jednej strony Japonja, Niemcy i Włochy, z drugiej Stany Zjednoczone, Francja, Rosja, Polska i Mała Ententa. Anglja jak dotąd, nie zajęła stanowiska zdecydowanego, usiłując utrzymać się w roli medjatora i regulatora pogłębiających się

antagonizmów, nie zaniedbując przytem wzmacniania swych wpływów w krajach Nadbałtyckich, dziś już w znacznym stopniu uzależnionych od rynków angielskich.

Kto wie, czy nie ta właśnie okoliczność była m. inn. powodem dość sensacyjnej propozycji, uczynionej Polsce przez Rosję Sowiecką (czy też odwrotnie) wspólnego zagwarantowania niepodległości czterem państwom nadbałtyckim.

O tej propozycji wiemy bardzo mało. Mimo jednak bardzo powściągliwego omawiania jej przez prasę zainteresowaną i nawet zaprzeczenia (wprawdzie nie zbyt kategorycznego) przez urzędową agencję sowiecką pierwszej informacji, podanej przez pisma angielskie, nie ulega dziś wątpliwości, że jakieś kroki w tym kierunku zostały jednak uczynione. Jest bodaj również faktem, że Finlandja kategorycznie odrzuciła projekt, że Łotwa i Estonia przyjęły go z bez wielkiego entuzjazmu, stawiając szereg zastrzeżeń oraz że najbardziej przychylnie odniosła się doń Litwa, wysuwając jednakże warunek rozciągnięcia gwarancji na cały obszar, określony w traktacie z d. 12 lipca 1920 r. Brak bliższych szczegółów o całej tej akcji nie pozwala na rzeczową jej ocenę, można jedynie wyrazić przypuszczenie, że propozycja Litwinowa została wywołana obawą oferentów przed jakimikolwiek zmianami status quo nad Bałtykiem. Jeżeli chodzi wszakże o wzmocnienie frontu antyniemieckiego, to w interesie zarówno Rosji, jak Polski leży chyba nie utrwalenie neutralności państw nadbałtyckich, lecz raczej aktywizacja i popchnięcie ich do polityki czynnej w pożądanym kierunku.

Być może inicjatywa sowiecka, nie osiągnąwszy celu zamierzonego, przyczyni się natomiast do przyspieszenia realizacji oddawna już istniejącej koncepcji Związku Bałtyckiej, dotychczas pozostającej jednak w sferze papierowych rozważań. Największą

138049



przeszkodą w jej urzeczywistnieniu była rywalizacja o wpływy nad Bałtykiem Niemiec, Polski i Rosji. O ile prawdą jest, że propozycja Litwinowa uczyniona została w porozumieniu z Polską, odpadłaby wówczas jedna z przeszkód. Zamiast trzech sił sąsiednich, wzajemnie się wykluczających, działałyby obecnie tylko dwie, co uczyniłoby sytuację bardziej wyraźną i ułatwiającą skoordynowanie rozbieżnych tendencji.

Inna rzecz, czy taki Związek Bałtycki, nawet w razie jego powstania, potrafiłby skutecznie bronić swej neutralności i ewentualnie niepodległości. W razie wybuchu zbrojnego konfliktu na wschodzie Europy, neutralność małych państw, znajdujących się w orbicie zmagających się potęg militarnych, jest nader problematyczna. Przykład Belgii w wojnie wszechświatowej jest dostatecznie pod tym względem pouczający. Złamanie neutralności przez jednego z napastników zmusza państwo neutralne do zbrojnej obrony i automatycznie wciąga je do wspólnej akcji ze stroną przeciwną. I żadne zobowiązania ani gwarancje nic tu nie pomagają.

Natomiast w dziedzinę utopji wkraczają życzenia polityków łotewskich, by neutralność państw nadbałtyckich została zagwarantowana przez wszystkie państwa i aby formuła neutralizacji była zgodną ze statutem Ligi Narodów. Terytorjum nadbałtyckie to nie Szwajcaria.

Ponieważ trudno posądzać kierowników polityki zagranicznej Łotwy o tak rażącą naiwność, należy przypuszczać, że jest to tylko wybieg dyplomatyczny, grzeczna forma odmowy na propozycję wspólnej polsko-rosyjskiej opieki, której jednak nie da się uniknąć w bliższej lub dalszej przyszłości, o ile państwa nadbałtyckie będą chciały się bronić przed germańskim „Drang nach Osten”.

Zbliża się moment decydujący, gdy neutralność stanie się oczywistą fikcją.

Bez maski i w masce.

Egoizm jednostki Adam Smith uważał za dodatni czynnik w gospodarczym rozwoju świata, o ile oczywiście nie ujawnia się on w formie chorobliwej, antyspołecznej. Pracowitość rolnika, wpływająca na powiększenie zbiorów, a tem samem na zaspokojenie niezbędnych potrzeb tego rolnika, może być potraktowana jako przejaw leżącego w naturze ludzkiej egoizmu. Można tego rodzaju egoizm utożsamiać z instynktem życia, jako nieubłaganem prawem natury. Piętnować taki egoizm — rzecz niewdzięczna i bezskuteczna. Inaczej natomiast wygląda egoizm wypływający z zatracenia poczucia potrzeb własnych i nakazów etyki. Bogacz, który gromadzi dobra dla samej przyjemności gromadzenia, wyzyskując przy tem innych i buduje zbytek na ograniczaniu zaspokojenia potrzeb swoich bliźnich — ujawnia egoizm antyspołeczny. Walka z takim egoizmem jest koniecznością a nawet obowiązkiem społecznym.

Podobnie rzecz się dzieje z zorganizowanym egoizmem zbiorowym — nacjonalizmem. Zasadnicza różnica polega na tem, że nacjonalizm posiada możliwości i granice znacznie rozleglejsze, bardziej wykrzywione i nieuchwytnie. Rozróżniać należy przede wszystkim nacjonalizm agresywny i obronny. Niestety, określić ściśle, gdzie się kończy obronny, a zaczyna się agresywny, niema żadnej możliwości. Ciosy zadane ze strony napadniętego bardzo często zacierały właściwości obrony potrzebnej i nabierają cech napastliwych. Chwiejność tej granicy zawsze pozostanie tematem jałowych sporów dla ludzi lubujących się w teoretycznych rozważaniach i dyskuszach.

Nie znaczy to jednak, by niektóre jaskrawe przejawy nacjonalizmu mogły być sporne co do zakwalifikowania ich do takiej czy innej kategorii. Jaskrawość, wyrazistość niektórych zjawisk wyklucza wszelką dyskusję, o ile tylko obserwator potrafi zdobyć się na dobrą wolę i obiektywizm.

Najlepszym kryterjum dla oceny nacjonalizmu i jego rozumienia jest ustalenie widocznego faktu, czy dany nacjonalizm występuje u narodu panującego czy też podbitego. Nacjonalizm podbitych jest

Bernardyni na Litwie i Białorusi*).

(D. ciąg).

„Jeśli duchowieństwo wileńskie poczytywało za zuchwalstwo kazania bernardyńskie o obrządku wschodnim, to na dworze książęcym, zwłaszcza u Heleny, wywoływały oczywista zadowolenie. Świadczy o tem hojność Aleksandra względem Bernardynów. dowodzi przychylność Heleny, co obdarzała ich obfitami jałmużnami, a nawet zaufała im do tego stopnia, że po zgonie małżonka, złożyła u nich na przechowanie swoje skarby. Korzystali z tej sympatji bracia, żeby ją nakłaniać do przyjęcia unji, tak samo *zdrajca ruskiego zakonu*, arcybiskup smoleński Jan Józef Sołtan, syn wyżej wspomnianego unity; nawracał Tabor, tembardziej nadaremno. Nie wiemy nawet, czy to te zabiegi sprawiły, że księżna ode-

słała do Moskwy swego dotychczasowego kapelana Tomasza 1498; mogły na to wpłynąć zgoła inne przyczyny.

„Zagadnienia unickie wówczas szeroko zajmowały umysły, echa ich odbijały się nawet w Krakowie, gdzie biskupem był wtenczas Fryderyk Jagiellończyk (1488—1503). Jakkolwiek, zdaje się, nie pojechał do Wilna 1495*), rzeczy te i związane z niemi nawrócenie bratowej stanowiły przedmiot także jego troski. On to może urządził dysputę w kurji swojej krakowskiej pomiędzy księżmi świeckimi a Bernardynami, na których czele stawił się ówczesny prowincjał Szklarek (1493—6) i odniósł zwycięstwo. Podobną dysputę z równym skutkiem uczony Bernardyn odbył w kurji biskupiej w Wilnie. Główny dowód Bernardynów stanowiły oczywiście postanowienia Soboru florenckiego. Późniejsze cokolwiek źródła pozwalają nam odtworzyć wzajemne wywody”, jednak nie będziemy się o tem dłużej tu rozwodzili,

*) Ob. Nr. 22 „Przeł. Wil.” z r. 1933.

*) Bartoszewicz za Kraszewskim twierdzi, że Fryderyk w r. 1495 przybył do Wilna.

najczęściej odruchem obronnym, zrodzonym z zachłanności narodu panującego, jest smutną koniecznością i nie zawsze nawet można go nazwać nacjonalizmem. Jego siła obronna jest przeważnie warunkowana siłą natarcia ze strony zorganizowanego, uzbrojonego w aparat państwowy nacjonalizmu narodu panującego.

Bardzo pouczające doświadczenie pod tym względem stanowi stosunek narodu polskiego do mniejszości narodowych w państwie polskim. Iderł narodu polskiego ziścił się: niepodległość została odzyskana. Zdawałoby się, że z chwilą odejścia zaborców, walka o język polski stanie się niepotrzebnym anachronizmem. Wystarczałoby, zdawałoby się, dać ludności polskiej szkoły polskie, pozostawiając narodowościom niepolskim swobodę kształcenia się we własnym języku, traktując je z całkowitą tolerancją, chociażby ze względu na to, że ciężar nie-tolerancji tak dotkliwie Polacy odczuli na sobie. Można by tu spodziewać się całkowitego zrozumienia psychiki i nastrojów narodów, w sytuacji których tak się niedawno znajdował naród polski.

Stało się inaczej. Wszystko poszło w niepamięć, pozostała jednak w pamięci i w praktyce polityka, dla której niegdyś nie znajdowało się słów potępienia. Znikła potrzeba obrony, a na jej miejsce przychodzi dążenie do natarcia. Przyjęło ono wprawdzie formy cokolwiek inne niż przed wojną, formy nie tak brutalne, lecz nie mniej dotkliwe w skutkach.

Na miejsce dawnego hasła odbudowy państwa, wyrosło dziś hasło bardziej śmiałe a głośnie: „Polska mocarstwowa“. A w cichości duszy dodaje się: „kosztem wchłonięcia przez Polaków obcych organizmów narodowych“. I tu następuje zjawisko najciekawsze. Społeczeństwo polskie, z wyjątkiem endecji, odżegnywuje się od nacjonalizmu. Mało tego: od nędznej grupki monarchistów, po przez sanację aż do komunistów polskich włącznie, potępia się w zasadzie nacjonalizm endecki. A jednocześnie świadomie lub nieświadomie popiera się wszystkie cele endeckiego nacjonalizmu agresywnego.

Otwarty nacjonalizm polski dla konserwatywnej masy litewskiej lub białoruskiej nie grozi zagładą, o ile będzie występować bez przyłbicy, jak to czynią faszyci, hitlerowcy i endecy. Taki nacjo-

nalizm podsyca nacjonalizm odporny jako zjawisko wtórne i nieuniknione. Budzi on ducha sprzeciwu wśród napastowanych, pogłębia uświadomienie narodowe, wytwarza konsolidację. Gorzej jest jeżeli nacjonalizm narodu panującego, uzbrojony od stóp do głowy, przywdziewa niewinne szaty patriotyzmu, mocarstwowości, ugodowej współpracy, zgodnego współżycia, wychowania państwowego, promieniowania kultury Zachodu i innych środków nasennych przy jednoczesnym podziale obywateli na różne kategorie i cichem wypieraniu zewsząd elementu, który ma odwagę nie zaliczać siebie do narodowości panującej. Ten cichy, usypiający kurs polityki narodowościowej, oparty na zamaskowanym nacjonalizmie jest dla mniejszości narodowych bezwzględnie niebezpieczny, zawiera on w sobie przemyślany dobrze plan asymilacji bez hałasu, tam gdzie gwałt może się okazać środkiem zawodnym.

Taki podstępny egoizm narodowy można porównać do egoizmu bogacza, który po całkowitem zaspokojeniu potrzeb własnych, gromadzi bogactwa niezliczone dalej dla samej manji gromadzenia, przyczem ucieka się do osłabienia czujności swego wyzyskiwanego kontrahenta, celem systematycznego ogołacania go z największych wartości.

To też ten nacjonalizm agresywny, cechujący nie tylko endecję, ale wszystkie niemal ugrupowania polskie, nie wyłączając najskrajniejszych, a jednocześnie ukryty, obliczony na wprowadzenie w błąd nie tylko mało uświadomionych mas inoplemiennych, ale i ich sfer kulturalnych, — jest najgroźniejszym niebezpieczeństwem dla t. zw. mniejszości narodowych.

Al. S.

Wileńscy sympatycy Hitlera.

Narodowy socjalizm w jego hitlerowskiej formie już dość dawno przestał być czemś nowem, nie przestał natomiast być głośnym. Reklamę pierwszorzędą zrobili mu przedewszystkiem te narody i państwa, którym dążenia Hitlera bezpośrednio za grażają. Stąd u nas jak i w całej Polsce najmniejszą kmiotek coś nie coś słyszał o Hitlerze

jako o rzeczy zbyt specjalnej. Wracamy do dysputy wileńskiej. „Inaczej jednak niż w Krakowie, wywody Szklarka nie trafiły do przekonania prałatom wileńskim. Powoływali się na *breve* Papieskie, jakoby uznające ich stanowisko, którego wcale nie było. Tabor zabronił nawet księdzu unickiemu mszy odprawiać, chociaż ten już celebrował w Krakowie, za co się biskup musiał się potem tłumaczyć przed Stolicą św. Sprowadził też sobie profesora Sakrana z Krakowa, który w obronie jego stanowiska wydał łańską broszurę: *Wyjaśnienie błędów obrzędku (sic!) ruskiego*, z przejrzystą polemiką przeciw Bernardynom.

„Tymczasem arcybiskupa Sołtana król Aleksander obdarzył metropolją kijowską (1397—1521). Mimo sympatyj unickich, wziął zatwierdzenie od patriarchy w Carogrodzie. Jednak złożył oświadczenie obojętnej posłuszeństwa na ręce Tabora, a kiedy (prymas) Ciołek wyruszał do Rzymu, jechał z nim jako prokurator metropolity rzeczony Jan Sapieha. Bardzo być może, że do posunięcia Sołtana przyczynili się też Bernardyni, dowodu wszakże na to niema.

„R. 1502 Ciołek powrócił z Rzymu. Decyzje Papieskie, jakie przywiózł, w znacznej mierze szły po linii bernardyńskiej. Chrystus wschodni uznano za ważny. Bez powtórzenia mieli schizmatyków przyjmować arcybiskup lwowski oraz biskupi wileński i żmudzki, używając obok duchowieństwa świeckiego pomocy Dominikanów i Bernardynów, tamtych jednak na Litwie podówczas jeszcze nie było*). Zapewnia źródło bernardyńskie, że księża świeccy nie rozwijają działalności misyjnej, a to dlatego, że w tem nie widzą żadnej korzyści pieniężnej, nie dbając bynajmniej o zasługi duchowne i dusz zbawienie i bo musieli porzucić zwyczaj szumnego życia, aby błędnych pociągnąć do jedności Kościoła nie tyle kaznodziejskim słowem, ile przykładem dobrego prowadzenia. Przywiózł także Ciołek (z Rzymu) warunki uznania dla metropolity, z których wynika, że święcenie jego uważano w Rzymie za ważne.

*) Konwent wileński Dominikanów założył Aleksander w r. 1501.

przyczem obok przezabawnych i fantastycznych przymiotów przypisywanych Hitlerowi, wysuwa się on w wyobraźni naszego ludu najczęściej jako bohaterki pogromca Żydów i panów. A że „panowie” i Żydzi na wsi naszej byli i pozostali uosobieniem dobrobytu a nieraz i wyzwisku — sylwetka Hitlera w pojęciu niekoniecznie uświadomionego wieśniaka wcale nie jest taką straszną, jak to malują niektóre odłamy prasy. Przeciwnie, trzeba to podkreślić z całym naciskiem, rozgoryczona i pogrążona w nędzy wieś coraz bardziej zaczyna interesować się ruchem hitlerowskim nie bez cienia sympatii do tego, co jej fama niesie o życiu dzisiejszych Niemiec.

Uwagi powyższe w znacznej mierze odnoszą się także do pewnej części mieszczaństwa wileńskiego, które poza narodowością Hitlera nie ma mu nic do zarzucenia, chętnieby też nacjonalizm hitlerowski zastąpiło nacjonalizmem polskim i przeniosło na nasz teren. Ale od czegoż mamy endecję?

Jest ona oczywiście wprost powołaną do wprowadzenia w życie głośnych ideałów Hitlera. Mimo to znalazło się w Wilnie kilka osób, które założyły w końcu ub. roku aż dwie naraz gazety polskie o programie narodowo-socjalistycznym. Ukazanie się tych pism poprzedziły ulotki rozrzucone w mieście, szczególnie w środowisku studenckim.

Treść obu czasopism okazała się bardzo niewybredną. Było to skompromitowanie doszczętne pierwszych początków tego zapożyczonych z Niemiec ruchu. Nie było tam jakichś przemyślanych programowych założeń, roiło się natomiast od hasła o posmaku pogromowym w rodzaju „Polska dla Polaków” i t. p.

Niektórzy czytelnicy tych pism spośród Białorusinów często wbrew zapewne oczekiwaniom autorów powyższego hasła, uznali je za swoje. „My, chociaż nie Polacy, możemy tu w Wilnie całkiem solidaryzować się z takim hasłem”, — zwracali się dość głośno.

Bardzo być może, że założyciel „Przed Bojem” i „Frontu” (takie nazwy nosiły te czasopisma) liczył na spieniężenie popularności Hitlera w postaci zdobycia sobie prenumeratorów, ale spotkało ich najwidoczniej wielkie rozczarowanie, gdyż numery pierwsze były ostatnimi. Ruch socjalistyczno-narodowy

w społeczeństwie polskim w Wilnie, jak się okazało, nie znalazł dla siebie odpowiedniego gruntu.

Nieco inaczej przedstawia się ta sprawa u Białorusinów.

W grudniu roku ubiegłego Białorusin p. Władysław Kozłowski, emerytowany porucznik wojsk polskich, całkiem niespodzianie dla Białorusinów wileńskich wypuścił w świat pierwszy numer pisma narazie miesięcznego o ideologii narodowo-socjalistycznej p. t. „Novy Ślach”. Jak wynika z treści pierwszego redakcyjnego artykułu, dokoła tego organu ma się grupować szereg osobistości, poglądy polityczne których „nie mogą się mieścić w ramach istniejących obecnie ugrupowań białoruskich”. O ile można sądzić z dwóch numerów, które dotychczas ukazały się, „Novy Ślach” nie jest pismem kopującym bez zastrzeżeń program niemieckich narodowych socjalistów, o ile o takim programie wogóle mówić można. Jest to raczej próba szukania nowych dróg bądź co bądź w nowym kierunku i pozyskania sobie ludzi, którym jednocześnie imponuje i nacjonalizm i socjalizm. Pismo stanowczo odbiega co do swej formy od poziomu pisma ludowego. Jest najwidoczniej obliczone na niewielkie koła „wybranych” lubujących się w teoretycznych dociekaniach, to też cechuje je monotonią i grzebanie się w starych i często przebrzmiałych doktrynach politycznych. Nadewszystko rzuca się w oczy brak materiału aktualnego i przydługie artykuły.

Pomimo wszystko, ten nowy przejaw życia białoruskiego nie przeszedł, jak się okazuje, bez echa. Niekoniecznie słuszne określenie tego zjawiska jako „hitlerowszczyzna białoruska” coraz bardziej jednak emocjonuje Białorusinów, szczególnie stojących dotąd na uboczu. Nie brak oczywiście nieporozumień i komentarzy mało pocieszających, lecz bardzo charakterystycznych. Pewien poczciwiec wiejski, kiedy się dowiedział o ukazaniu się pisma narodowo-socjalistycznego w języku białoruskim, zawyrokował prostacko: „Heta wielmi dobra, chutka pojdzjem Żydoŭ łupcować”.

Prasa białoruska w Wilnie nie potraktowała „N. Ślachu” napastliwie. Coprawda, niektóre pisma od razu przypięły mu niemal obraźliwą w stosunkach białoruskich etykietę faszyzmu, inne natomiast

„Wydawałoby się, że rozbieżne stanowisko Bernardynów a biskupa Tabora w tak piekących sprawach powinny wywołać tarcia pomiędzy nimi. Atoli kilka zachowanych szczegółów świadczy przeciwnie o dobrych stosunkach. Tak biskup matkę swoją pochował w ich kościele i nie szczędził im dobrodziejstw... Podczas wizytacji diecezji zabierał z sobą Bernardynów. Gwardjanowi nowego konwentu w Połocku (1498) udzielił szerokich upoważnień, równających się prawom plebańskim...

„Moralnie Bernardyni wileńscy pochlubić się mogli powodzeniem, materialnie właśnie w tym czasie wielka klęska ich spotkała. Część kościoła runęła, część musieli rozebrać. Pozostały jednak chór z zakrystją tudzież główny budynek klasztorny i dormitarz. Mogli więc chociaż z pewną niewygodą nadal sprawować swoje czynności. Może po części nabożeństwa swoje przenieśli do kościoła św. Anny, tuż obok leżącego, nad którym mieli pieczę, nie wiemy od kiedy. Wskazywałoby na to przeniesienie ówczesne zatargi pomiędzy zakonnikami a bractwem św. Anny, które aż sam Aleksander musiał

rozstrzygać na rzecz Bernardynów. W lipcu r. 1520 wydał kilka mandatów, przenosząc na zakonników własność obiecanego bractwu gruntu pomłyńskiego, po zburzeniu młynu wodnego (na Wilence), co przeskadzał w nabożeństwach, zastrzegając zarząd kościoła dla nich, tak że bractwo ma we wszystkim się do ich woli stosować, a zwłaszcza obcych księży dopuszczać tylko za ich zezwoleniem, czy do mszy czy do pogrzebów, tak samo apartamenta nabywać, budowle przedsiębrać, zapisy czynić. Że bracia troszczyli się niemało o ten kościół, dowodzi, iż w r. 1501 przez Ciołka wyjednali odpust za nawiedzenie jałmużnicze w dni Wniebowstąpienia, poświęcenia kościoła, patronki jego św. Anny i dwóch świętych Franciszka i Antoniego. Niezawodnie w te dni odbywały się uroczyste nabożeństwa u św. Anny.

„Niezwłocznie też zakonnicy przystąpili do odbudowy zrujnowanego konwentu. Odbudowa ta urzędowo skończona w r. 1512, w istocie przeciągnęła się lat dwa dziesiątki, a uroczystego poświęcenia kościoła może dokonał dopiero legat Ferreri 1520—1.

„Najlepszej tradycji ojca Aleksander odpowie-

ograniczyły się do krótkiej wzmianki informacyjnej, co można komentować jako stanowisko dalekie od zwalczania nowego czasopisma.

Trudno dziś z całą pewnością twierdzić czy „Novy Ślach” w przyszłości podzieli los swoich poprzedników polskich, czy też przyczyni się do wzmocnienia nacjonalizmu białoruskiego w nowej jego formie. Jeżeli wziąć pod uwagę bezdroża polskiej polityki narodowościowej z jej niezręcznie ukrytą nietolerancją oraz załamanie się wpływów sąsiada wschodniego po sowiecko-polskim zbliżeniu, należy stwierdzić istnienie warunków, sprzyjających wzrostowi zainteresowań na gruncie białoruskim do nowinek z zachodu.

W każdym razie Białorusini znajdują się w tem „szczęśliwym” położeniu, że w granicach państwa polskiego nic nie mają do stracenia. A to właśnie najbardziej może zdecydować o wyborze nowych dróg.

Albusz.

Z mego notatnika.

Od krajowości do imperjalizmu.

Oblicze ideowe „Klubu Włóczęgów” dotychczas stanowiło zagadkę dla wszystkich tych, którzy, nie mając możliwości lub chęci bliższego zetknięcia się z tą wysoce ruchliwą i zapobiegliwą organizacją, zmuszeni byli obserwować jej działalność zdala i opierać swój sąd jedynie na podstawie wydawanego przez klub organu, wyłączając prywatne informacje o poszczególnych jego członkach i rozmaitych poufnych poczynaniach klubu, rzucające wprawdzie nań dość wyraźne światło, lecz z natury rzeczy nie mające charakteru źródłowego, a więc nie nadające się jako materiał do wnioskowania.

Kto zaś chciał lub musiał poprzestawać wyłącznie na pilnym wertowaniu miesięcznika „Włóczęga”, ten miał prawdziwy kłopot, usiłując dokładnie zdefiniować kierunek zarówno pisma, jak grupy, je wydającej.

dział, fundując konwent Bernardynów w Połocku r. 1498, którą to fundację potwierdził już jako król na sejmie w Piotrkowie. Jeżeli inne łaski jego dla zakonników mogły wpływać z sympatji hojnego monarchy, to konwent połocki należy określić jako dzieło mądrości stanu. Była to przecież placówka... katolicka, wysunięta daleko na północny wschód w głąb krajów schyzmatyckich wątpliwej wierności. Nie bez powodu Iwan moskiewski już 1502 oburzał się na *bożnicę* rzymską w Połocku. Więc rozumiemy, że jakiegokolwiek były uczucia Tabora względem Bernardynów, na akcie z r. 1504 widnieje jego wyraźna zgoda”.

Nowy konwent leżał na przedmieściu Żapołociu, na zachód od grodu, za mostem opodal ujścia Połoty do Dźwiny. Jak całe miasto, zbudowany był z drzewa. „Przedmieście miało wprawdzie utwierdzenia, ale słabsze od grodu. Dlatego podczas oblężeń moskiewskich w ciągu w. XVI stawało się łupem pożarów wraz z klasztorem, ale drewniane budowle łatwo przychodziło odbudować. Konwent we wszelkie potrzeby zaopatrzono z Wilna”. Aleksander

W pierwszym numerze „Włóczęgi” ukazała się programowa enuncjacja, podpisana przez dr. St. Świaniewicza p. t. „Nasza krajowość”, zawierająca jego osobiste wyznanie wiary, najzupełniej zgodne z tytułem, niedwuznacznie dająca wszakże do zrozumienia, że poglądy autora są wyrazem stanowiska zasadniczego całej organizacji. Już wówczas „Przeгляд Wil.” wyraził wątpliwość co do tej jedyności, nie kwestjonując jednak dobrej woli i szczerych intencji klubu interpretowania ideologii krajowej w duchu federalistycznego programu dawnych demokratów wileńskich.

Rzeczywistość potwierdziła uzasadniony sceptycyzm „Przeгляdu Wil.”. W dalszych numerach krajowość w ścisłym tego słowa znaczeniu, w tej postaci, w jakiej przedstawił ją p. Świaniewicz, nie znalazła już sobie miejsca. Nawet sam termin — świadomie czy nieświadomie — wyraźnie był unikany. Skończyło się zaś na tem, że w pewnym artykule okolicznościowym program krajowy został zmieszany z błotem i uznany za szkodnictwo w przeciwstawieniu do zdrowego regionalizmu.

Mimo tego zupełnego odseparowania się „Włóczęgi” od krajowości, trudno było określić ściśle jakim ideałem pismo hołduje. Ukazywały się w niem artykuły rozmaitej treści, o niejednolitem zabarwieniu, raz bardziej sympatyczne, innym razem całkiem nieoczekiwane na szpaltach organu Klubu Włóczęgów i załatwujące niemal endeckim hurra-patriotyzmem. Dawało się wyczuć, że redakcja nie posiada wyraźnie wytkniętej linii, tembardziej, że artykułów programowych, zasadniczych nie zamieszczała prawie wcale.

Dopiero artykuł wstępny p. t. „Nowy Rok” w Nr. 1 „Włóczęgi” z b. r. odsłonił właściwe i prawdziwe oblicze ideowe „Włóczęgi” i „Włóczęgów”. To, o czem się słyszało od pewnego czasu w rozmowach prywatnych, sprawdziło się w całej pełni, a trzeba przyznać, że noworoczna deklaracja posiada nawet takie akcenty, o których owi przygodni informatorzy nie wspominali wcale.

Nie jest więc niespodzianką, że „Włóczędzy” stanowią jedną z wielu ekspozytur sanacyjnych. Sympatje i pewne inklinacje do obozu prorządowego, które nie trudno było dostrzec na szpaltach

i ludność nie szczędzili ofiar i jałmużn. „Wezwanie Bramy Niebieskiej nadano kościołowi”.

Dokoła Połocka w olbrzymim promieniu nie było wówczas ani parafji katolickiej, ani księdza łacińskiego. Więc wszystkie czynniki parafjalne przypadły w udziale Bernardynom. Przydały się tu im przywileje rzymskie, a o upoważnienia biskupie musieli Bernardyni w porę się postarać. Król wszystko potwierdził i nakazał starostom i magnatom dopomagać im mocą *brachii saecularis*.

Jaki był stan religijny i moralny Połocka i okolic, świadczy wymownie, że tu „wielu ludzi wogóle jeszcze nie było ochrzczonych!” Bernardyni mnóstwo ludzi ochrzczili, innych nawrócili ze schizmy. Dokoła konwentu urosła jakby gmina katolicka kilkudziesiętna. Między nawróconymi znalazła się także rodzina Skorynow, jak o tem świadczy imię znakomitego wydawcy *Franciszek*”. Mimo klęsk wojennych i groźnego położenia, zakonnicy tu trwali, acz nie brakło kilkakroć pokusy do porzucenia tak eksploatowanej placówki. Pierwszym przełożonym, także gwardjanem, był tu Leon z Łańcuta (1498—1512?).

„Włóczęgi”, obecnie przybrały formę otwartego i całkowitego opowiedzenia się za sanacją. Oświadczanie, że „jedynymi ludźmi mającymi w dzisiejszej Polsce coś do powiedzenia są ludzie z pod znaku Marszałka” — jest mocne, szczerze i o wiele bardziej przemawiające do przekonania, niż uprzednie blade wywody na temat krajowości i federalizmu.

Ale wiemy przecież dobrze, że obóz sanacyjny nie jest jednolity i że składa się on z dość różnorodnych elementów. Należało przypuszczać, że „Włóczęga” zademonstruje swą bliskość ideową z „Kurjerem Wileńskim”, nie zaś ze „Słowem”. Tymczasem w enuncjacji noworocznej spotykamy zdania jakby żywcem zapożyczone z organu p. Cata. Czyż nie czytaliśmy bowiem niejednokrotnie na łamach „Słowa”, że „pomniejszenie i złamanie Wilna i jego misji dziejowej będzie niepowetowaną szkodą dla rozwoju mocarstwowej Polski w dalszej przyszłości”?

Wprawdzie i dawniej „Włóczędy” deklamowali o potrzebie „rozszerzenia ścian naszego Domu Wileńskiego”, ale wtedy tego rodzaju aspiracje mogły uchodzić za wyraz dbałości o interesy naszego kraju. Obecnie, w zestawieniu z wyrażoną tak jaskrawo troską o mocarstwowe stanowisko Polski dążenie do rozszerzenia „Domu Wileńskiego” nie może być inaczej rozumiane, jak dążenie do ekspansji państwowej, jako objaw typowego imperjalizmu.

Od wynurzeń krajowych p. Świaniewicza do sanacyjno-imperjalistycznych haseł w duchu p. Mackiewicza — skok to niemały w przeciągu półtora roku. Ale teraz wiemy przynajmniej, z kim mamy do czynienia.

Zabawne pretensje.

Prof. Michał Birżiszka, prezes Związku Wyzwolenia Wilna otrzymał pozwolenie od rządu polskiego na wjazd w granice państwa polskiego i nie omieszkał z tego pozwolenia skorzystać. Bawił przez parę tygodni w Wilnie, odwiedził Warszawę i Kraków. Fakt udzielenia przez rząd polski prof. Birżiszce pozwolenia na pobyt w Polsce wywołał ogólne zdziwienie.

Jak można było wpuszczać do Wilna działacza litewskiego, który otwarcie dąży do oderwania Wileńszczyzny od Polski i w tym kierunku rozwija nieprzebierającą w środkach agitację? Takie pytanie zadawano sobie w rozmaitych kołach. Widocznie jednakże rząd polski miał swoje powody, udzielając pozwolenia, bo przecież trudno przypuścić, aby osoba prof. Birżiszki była mu nieznaną.

Ze ten gest uprzejmości ze strony rządu polskiego mógł się nie podobać zwolennikom ostrego kursu, retorsyj i represyj — jest to rzeczą zupełnie zrozumiałą. I nie zdziwiło mię wcale, gdy prasa nacjonalistyczna dała wyraz swemu niezadowoleniu, zarzucając kierownikom polityki polskiej zbytnią tolerancję, ustępliwość czy nawet nieopatrność. Nie mogę jednakże w żaden sposób zrozumieć ostrych wycieczek tejże prasy, a nawet miarodajnej „Gazety Polskiej”, przeciwko prof. Birżiszce za to, że skorzystał z nadarzającej się sposobności i przyjechał do Polski, nie rezygnując bynajmniej ze swych aspiracji politycznych i nie wyrażając najmniejszej skruchy za swą dotychczasową działalność.

Zabawne naprawdę pretensje!

Przecież prof. Birżiszka otrzymując przepustkę nie dawał żadnych zobowiązań, że zaprzestanie swej akcji na gruncie Związku Wyzwolenia Wilna i nie składał żadnych przyrzeczeń co do zmiany swego stanowiska. Został wpuszczony do Polski bez żadnych zastrzeżeń i warunków. Udzielonej mu gościny nie nadużył, bo podczas swego pobytu w Wilnie nie zachowywał się demonstracyjnie lub wyzywająco, nie agitował i nie wywoływał jakiegokolwiek fermentu. Tego rodzaju zarzutów przynajmniej w atakujących go pismach polskich nie spotkałem. Więc o cóż chodzi? O to, że prof. Birżiszka pozostał sobą i miał odwagę przekroczenia kordonu, narażając się na ewentualne przykrości i szykany ze strony krewkich obrońców i zwolenników istniejącego stanu rzeczy? To już zakrawa na śmieszność.

Kiedy p. Stanisław Mackiewicz uzyskał wizę sowiecką i podróżował po Rosji, znany już był ze swego jaskrawego nastawienia antysowieckiego i ze swych agresywnych wystąpień przeciwko czerwonej dyktaturze. Nie przeszkodziło to jednak rządowi moskiewskiemu udzielić mu pozwolenia na wjazd

następcą jego Bonawentura Litwin, który zginął podczas oblężenia 1514. Byli tu i inni Litwini, jak zasłużony Gotard laik.

O Tykocinie wiadomości są daleko uboższe, więcej ich mamy o Kownie.

„Kowno, najznakomitsze po Wilnie miasto Zachodniej Litwy, rozwijało się w czasach jagiellońskich pomyślnie jako ważna placówka handlowa. Ok. r. 1500 przystąpiono (tu) do wymurowania drewnianego dotychczas osiedla, co dowodzi zamożności jego, ale zależy pewnie też na przezorności Aleksandra w utwierdzeniu miast litewskich. W Kownie znajdowała się poważna kolonia niemiecka. Z kościołów obok parafji istniały dawny franciszkański i nowy bernardyński. Spotykamy tam kaznodzieję Marjana z Okurowa 1493. Jest znamienna, że ten sam rękopis kazań jego zawiera dalej, krom polskich zapisek, także niemieckie modlitwy. Świadczy to, że Bernardyni rozwijali swą działalność wśród Niemców, współzawodnicząc z Franciszkanami, u których spotykamy niemieckich kaznodziejów. I pierwszy formalny gwardjan kowieński Pankracy był Niem-

cem († 1502). Pewnie następcą jego został wybitny Bernardyn Antoni z Biecza. Rozwinął pilną działalność budowniczą i, dzięki syndykowi konwentu Stankowi równie hojnemu jak majątnemu mógł pięknie wykończyć całą budowę”. U Bernardynów w Kownie był kaznodzieja litewski (*praedicator Lithwanicus*), obok domniemanie polskiego i niemieckiego. Biblioteka U. S. B. w Wilnie, w dziale inkunabułów, posiada szereg dzieł po naszych Bernardynach, (jeden z napisem *Pro cella praedicatoris Alemanorum in loco Wilnensi*) mianowicie po wileńskich 40, po kowieńskich 2 (jeden z napisem: *Pro cella praedicatoris Lithwanici in laoco Coffnersi*), po tykocińskich 1. O pracy religijnej Bernardynów w Kownie świadczy jeszcze to, że im powierzone było przez czas pewien kierownictwo duchowne kowieńskich Beginek*). R. 1508 prowincjał Rafał z Proszowic założył w Kownie bractwo św. Anny, a biskup tameczny Radziwiłł poświęcił jej ołtarz.

(D. c. n.)

*) Żeńskie zgromadzenie zakonne.

i dłuższy pobyt na terytorjum Z.S.S.R. Nikomu też bodaj z obywateli sowieckich nie przyszło wtedy do głowy zarzucać redaktorowi „Słowa” bezczelności i nadużywania przezeń gościnności bolszewickiej. Nie wiem, czy po wydaniu przezeń „Myśli w obcęgach” udało mu się otrzymać powtórnie pozwolenie na zwiedzanie imperjum Stalinowskiego, gdyby jednakże rząd sowiecki zlekceważył jego akcję publicystyczną i pozwolił mu ponownie zbierać wrażenia i materiały do swych artykułów w „Słowie”, to czy mógłby ktokolwiek mieć za złe p. Mackiewiczowi, że z pozwolenia skorzystał i swęj propagandy antysowieckiej nie zaniechał? Najwyżej możnaby było powiedzieć, że się naraża na pewne ryzyko.

W każdym razie wolno rościć pretensje do tego, kto daje, a nie do tego, kto bierze.

Licz.

Murzyn zrobił swoje...

Dziwne rzeczy dzieją się w państwie sowieckim. Dużo tam można napotkać ciekawych eksperymentów i wysiłków, zato niepodobna zaobserwować czegoś stałego i pewnego. Co w jednym dniu uważane może być za bohaterstwo, to na drugi dzień za zbrodnię i vice versa. Można sobie wyobrazić życie obywatela w takiej niepewności.

Przyzwyczajiliśmy się myśleć, że wymieniony więzień, odsiadujący karę w Polsce za komunizm, daje Sowietom stuprocentową gwarancję lojalności i zasługuje na miano męczennika w walce o ideały Lenina. Tak też bolszewicy traktują każdego wymienianego więźnia. Spotykają go przy dźwiękach orkiestry, honorują, każą mu wygłaszać przemówienia o białym terrorze i t. d. Później jednak okazuje się, że nowy obywatel nie dorósł do zrozumienia przemądrej Stalinowskiej linii politycznej. Marksizm należy rozumieć po tamtej stronie kordonu inaczej i biedny b. więzień niedługo ma możność zachwycania się budownictwem socjalistycznym, — trafia w nielaskę a nieraz i za kraty nanowo.

Ofiarą takiego pouczającego nieprzystosowania do sowieckiego komunizmu padł szeroko znany na gruncie wileńskim b. poseł na sejm dr. Dworczanin. Był to zdecydowany i aktywny działacz sowietofilski na terenie Białorusi Zachodniej. Na fabrykach i placach publicznych organizował masówki, gdzie też nieraz przez jakieś ciemne indywidua bywał poturbowany. Miotał w Sejmie demonstracyjnymi wnioskami i okrzykami przeciwko t. zw. interwencji, okrzykami płomiennymi, czerwonymi jak państwowy sztandar sowiecki. Pisał żółcią przepojone artykuły o faszycacji Europy, podnosił rolę i zasługi Z.S.S.R.

A wszystko „dla dobra ludu pracującego”.

Nikt nie wątpił, że robił to szczerze. Po pewnym czasie, jak było do przewidzenia, zasiadł na ławie oskarżonych. Nawiasem mówiąc, siadł z premedytacją, gdyż w kole dobrze znajomych miał zwyczaj mawiać: „sprawa potrzebuje ofiar, a mnie należy się trochę czasu, by w więzieniu popracować nad sobą”. Swoje studia uniwersyteckie uważał za niewystarczające dla aktywnego polityka.

Jego przemówienie z ławy oskarżonych poniekąd potwierdziło tezy prokuratora; został też zasądzony na 8 lat więzienia. Po jakimś czasie wraz z kolegami z klubu sejmowego „Zmahańnie” odzyskał wolność w drodze wymiany więźniów pomiędzy

Polską a Z.S.S.R. Typowa karjera białoruskiego polityka radykalnego.

A więc pompatyczne spotkanie w Niehorelem, odczyty o Polsce o specjalnem zabarwieniu, pozdrowienia od uciskanych braci i t. d.

Ale nie trwało to zbyt długo. Murzyn zrobił swoje... Dziś dobrze poinformowana prasa komunistyczna w Polsce nie robi sobie ceremonii z wczorajszym bohaterem, nazywając Dworczanina „szkodnikiem narodowo-wyzwoleńczego ruchu”. Czy znajduje się on na wolności, o tem narazie niewiadomo. Możliwe, że czeka go los Fr. Alechnowicza.

Mało tego: podobno ukazały się w Wilnie ulotki komunistyczne oskarżające wszystkich (z wyjątkiem Taraszkiewicza), którzy wyjechali do Mińska o takie same dworczaninowskie „zbrodnie”.

Jeśli to nieoczekiwane posunięcie władz sowieckich okaże się prawdziwym, będzie ono niewątpliwie świadczyć już nie o indywidualnej nielasce względem dr. Dworczanina, lecz o niesłychanem dotychczas zaostrzeniu kursu antybiałoruskiego w Białorusi Sowieckiej wogóle.

Czyżby ten kurs wypływał z najnowszego kierunku sowieckiej polityki zagranicznej?

S-wicz.

Cudze chwalicie — swego nie znacie!

Od wczesnych lat dzieciństwa sprawiało mi przyjemność prawdziwą obserwować w stronach rodzinnych, w niedziele i święta, częściowo nawet w dni rynkowe, piękno naszych strojów wiejskich. Strój to był białoruski, czy litewski, czysty w swym typie czy już komponowany, nic to mię w tej chwili nie obchodzi. Dosyć że był nasz, tutejszy, wiejski i przytem piękny, acz wolny od jaskrawości i pretensjonalności. Niezubożona jeszcze wojną światową, ludność okoliczna mego rodzinnego miasta w wyżej wymienione dni, w kościele i dokoła niego, tworzyła nader ładny obraz, pełen barwnych plam. Srebrzyście lśniły w słońcu nowe samodziiały białych sukman, męskich siermiąg i kurtek z podkreślonymi taśmą zieloną kołnierzem, kłapami i kieszeniami. Sympatycznie patrzyły z nich osadzone wyraziste a ogorzałe głowy i wszystkie na bronz spalone ręce. Jeszcze bardziej kolorowo, jednak bez rażącej ostrości, przedstawiały się gromady kobiece. Co za piękne miały spodnice (zielone, czerwone, fioletowe, z szeroką taśmą czarnego aksamitu u dołu)! Jakie wesołe w kolorach, a kwieciste chusty i chustki na głowach!

Gdy się dziś widzi w mieście także gromadki wiejskie, przykro uderza widza nędza, tak, nędza znoszonych okropnie ich ubrań, o jakiejś barwie błotnistej, ubrań przypadkowo, więc nieestetycznie wiszących na karku. Dziś olbrzymia większość naszych włościan zgoła nie ma przyodziewku świątecznego, skoro nie stać ją nawet nieraz na ubiór codzienny do pracy. Słowa te nie zawierają, rzecz jasna, pod adresem wsi ni zarzutu, ni wymagań. Są tylko z jednej strony pełnem żalu wspomnieniem, że wojna i kryzys, dobijając dobrobyt względny naszego włościanina, obdarły go ogromnie z estetycznej a uczciwej odzieży, z drugiej zaś są one protestem, że właśnie taki niepomyślny czas jawnie jest wykorzystywany przez ludzi, dla których nawet

pojęcie naszej samoistości obyczajowej jest nie tylko obce, lecz wręcz nienawistne. Korzystają oni skwapliwie z chwili, by przez narzucenie naszej wsi *strojów krakowskich, pasiastych tkanin łowickich* i in. naleciałości, nie dopuścić do przechowania się u nas tradycyji naszych rodzinnych strojów.

Dla tych kulturregerów jesteśmy przecież niczem jeno dzikusami, którzy łykną dopiero z ich ręki kultury prawdziwej, skoro przywdzieją na się spodniczkę i gorsecik krakowski lub nakryją swój stół albo ławę pasiakiem łowickim. Może są one i piękne, ale obce pod naszym niebem. Rozumieć od biedy też można propagandę czegoś, lecz raziący jest moment wykorzystywania naszego przydługiego osłabienia, ubóstwa, dezorientacji.

Szczególnie przedmiotem tej inwazji są nasze kościoły, nad miarę gościnne na wszystko, co przychodzi do nas zza Bugu i Niemna. I to od ćwierć wiecza prawie, jeśli chodzi o stulecie XX. Zaczęto od przeszczepienia na nasz grunt z Królestwa t. zw. *białych procesyji*, względem których najpoważniejsi księża Polacy nie wypowiadali nic krom zastrzeżeń, a w których lud nasz nie widzi nic budującego. Po r. 1905 wkroczyły do naszych świątyń polityczne już *amaranty*. Potem przyszła kolej na *stroje krakowskie*, zbyt zapewne wesole, rozbawione i roztańczone, jak na kraj mgieł i lasów o trwającej bezmała pół roku zimie, późnej wiośnie a wczesnej jesieni. Od lat kilku jesteśmy świadkami inwazji do kościołów i domów *pasiaków łowickich*. Prymityw to niezgorszy, coś z tęczy, coś z oczka pawiego. Jakże jednak daleko tym pasiakom, co awansowały ze spodnic i portek na pokrycie ołtarzy Pańskich, do naszych tutejszych samodziółów wiejskich, o doskonałe zharmonizowanej z kolorytem kraju tonacji barw i prostym a pięknym deseniem!

Więc precz z owczym pędem, dzięki któremu bezmyślnie wyciągamy ręce do stręczących nam swe wytwory obcych faktorów i pośredników, a gardzić zaczynamy tem, co dawne, piękne i nasze.

Lecz nie tylko w wyżej oznaczonej dziedzinie dzieje się tak właśnie. Świeżo osoba z prowincji wileńskiej uskarżała się, że zaczyna być zaniedbywany u nas zwyczaj wystawiania na scenach teatrzyków amatorskich po wsiach rzeczy związanych z Bożem Narodzeniem, Nowym Rokiem i Trzema Królami. Wolą wystawiać one w takie dni utwory tego rodzaju, jak np. *Błazek opętany, Strzelecka miłość* i t.p. Prawda, że nieraz *Jasielka* robią u nas wrażenie nędznej szmiry i ub bałaganu, ale również jest prawda, że wystawiony w pierwsze święta Bożego Narodzenia, a importowany z Królestwa lub Galicji *Błazek opętany*, wywołać może swą niewczesną błazenadą uczucie niesmaku największego.

Gardiner.

Sprostowanie.

Do artykułu „Kawaler Złotego Krzyża Zasługi” w ostatnim numerze „Przeł. Wil.” wkrađło się nieco błędów drukarskich. Przedewszystkiem mylnie zostało podane nazwisko owego kawalera. Powinno wszędzie być *Stupnicki*, a nie *Stopnicki*. Pozatem w szpalcie drugiej w wierszu dwudziestym od góry należy czytać: *eto russkaja koriennaja ziemia* (zamiast *kaziennaja*).

Odpowiedzi Redakcji.

Staremu Polakowi. Artykułu Pańskiego nie możemy zamieścić, gdyż część jego pierwsza, zawierająca charakterystykę Rosji Sowieckiej oraz polityki polskiej wobec Sowietów grzeszy zbyt powierzchownem ujęciem tematu, część zaś druga, podająca szereg faktów, odmalowujących ujemny stosunek administracji miejscowej do ludności litewskiej na pograniczu może nas narazić na konfiskatę numeru. Nie mamy najmniejszej wątpliwości, że przytoczone przez Pana fakty są najzupełniej prawdziwe, ale ani redakcja, ani nawet sam autor nie potrafił udowodnić, że wszystkie najdrobniejsze szczegóły są podane dokładnie i zgodnie z rzeczywistością. A niech się znalazłże najmniejsza nieścisłość, będziemy odpowiadać przed sądem za rozpowszechnianie nieprawdziwych wiadomości o czynnościach władz. Z żalem więc musimy zrezygnować z tak ciekawego materiału.

Od Wydawnictwa.

Ostatni numer „Przełądu Wileńskiego” z roku ubiegłego (Nr. 22) z rozporządzenia Starostwa Grodzkiego został skonfiskowany za artykuł wstępny p. t. „Nowy punkt widzenia”.

Ponieważ konfiskata nastąpiła stosunkowo dość późno, drukarnia zdążyła już rozrzucić czcionki, wskutek czego redakcja pozbawiona została możliwości wydania powtórnego nakładu, jak to się zwykle praktykuje. z białą plamą w miejsce artykułu skonfiskowanego.

Niektórzy nasi czytelnicy otrzymali numer, gdyż administracja częściowo załatwiła ekspedycję jeszcze przed konfiskatą, tych zaś czytelników, którzy numeru nie otrzymali, najmocniej przepraszamy za mankament, pochodzący nie z winy wydawnictwa.

Lekcyj języka litewskiego udziela

M. Untulis

Wilno, Suwalska 7 m. 6.

DRUKARNIA NAKŁADOWA

„LUX“

Wilno, Portowa 7, telef. 203

Wykonywuje wszelkie prace w dziedzinie drukarstwa we wszystkich językach krajowych

